OGNISKO DOMOWE

Bezpłatny dodatek — wychodzi co tydzień.

Rok 5 CHOJNICE Nr. 18

Ewangelja.

Onego czasu mówił Jezus uczniom swoim, maluczko, a już mię nie ujrzycie: i zasię, maluczko, a ujrzycie mię iż idę do Ojca. Mówili tedy niektórzy, z uczniów Jego jeden do drugiego: co to jest, co nam mówi: maluczko, a nie ujrzycie mię: i zasię, maluczko, a ujrzycie mię, a iż idę do Ojca? mówili tedy; cóż to jest co nam mówi: maluczko, nie wiemy co powiada. Poznał tedy Jezus, że go wytać chcieli: i rzekł im. O tym się pytacie między sobą, iżem rzekł maluczko, a nie ujrzycie mię: i zasię maluczko, a ujrzycie mię? Zaprawdę, zaprawdę powiadam wam, iż wy będziecie płakać i narzekać, a świat się będzie weselił, a wy się smucić będziecie, ale smutek wasz w radość się obróci. Niewiasta gdy rodzi, smutek ma, iż przyszła jej godzina; lecz gdy porodzi dzieciątko, już nie pamięta uciśnienia dla radości, iż się człowiek na świat narodził. I wy tedy teraz wprawdzie smutek macie: lecz zasię oglądać będę was, a będzie się radowało serce wasze, a radości waszej żaden od was nie odjmie.

Nauka.

Stary to jest zwyczaj pobożnych a cnotliwych ludzi, iż widząc zbliżający się koniec życia rozporządzali domami swojemi, a dzieciom naukę zbawienną i błogosławieństwo dawali.

I tak: Izaak gdy widział zbliżającą się śmierć, błogosławił synowi swemu Jakóbowi, życząc mu z rosy niebieskiej i z tłustości ziemskiej zboża i wina. Tak też czynił Jakób patryarcha synom swoim schodząc z tego świata: tak czynili i inni patryarchowie.

Dawid król umierając, uczy syna swego Salomona: bać się Pana Boga i chować przykazania Jego, jak się ma zachować na królestwie swojem, a rozporządziwszy domem swym, umarł w pokoju.

Toż samo przed śmiercią czynił Tobjasz, uczy syna swego: aby się Pana Boga bał, matkę swą szanował, na grzech nie przyzwalał; aby z majętności swojej jałmużnę dawał, czystość zachował, pychy się strzegł, aby robotnikom rzetelnie wypłacał ich zasługi.

Otóż i Zbawiciel nasz, który wszystko, co tylko znalazł na świecie dobrego, uświęcił, widząc że przyszła Jego godzina, w której miał być za grzechy nasze ofiarowany na krzyżu, umiłowawszy swoich, którzy byli na świecie, do końca ich umiłował, niechcąc bez nauk i bez pociech zostawić.

Dlatego przed ostatnią Wieczerzą, uczył uczni swoich przykładem własnym pokory. Bo umywszy im nogi, przykazał, aby się i oni tego nie wstydzili, ale Mistrza swego w takiej pokorze i miłości naśladowali. Uczył, aby nieprzyjaciołom swoim winy odpuszczali, gdyż i sam wiedząc o zdradzie Judasza, nie odepchnął go od swojego stołu. Zalecał uczniom swoim, aby w Nim mieszkali, Jego miłowali, jako też bliźnich swoich; aby przykazania Jego chowa. Przepowiedział im męki i prześladowania jakie cierpieć mieli, napominał, aby nie upadli na duchu, ale byli stałymi, ciesząc się, że świat zwyciężyć mieli.

Tak więc Chrystus rozporządziwszy czeladką swoją, braćmi, i ulubionymi swoimi, gdy ich nauczył, pocieszył i pobłogosławił, poszedł do Ogrójca, gdzie się modlił, nietylko za nich, ale i cały rodzaj ludzki, i tam wkrótce pojmany, nazajutrz na krzyżu zabity został.

Oto najmilsi, każdy chrześcijanin ma z tego naukę i przykład, jak się na śmierć gotować...

Miejmy to w pamięci, i Pana Boga o to prośmy, aby nam dał z przytomnością umysłu i z dobrem rozporządzeniem domu z tego świata odejść, za grzechy swe pokutę czynić, a posiliwszy się na tę drogę Chlebem Żywota, jako prawdziwy chrześcianin, szczęśliwie umierać! Amen.

Kardynał Wiseman.

FABIOLA.

Część pierwsza.

Chwile rozejmu.

— Tak, może, to być wielką prawdą, i chociaż nie jestem ani stara, ani mądra od dawna przekonana jestem o tem. Lecz czemu nie zachować posągów jedynie jako dzieła sztuki?

— Dlatego, że postawione były nie jako dzieła sztuki, lecz jako bóstwo. Stały tu jako oszusty na mocy kłamliwych przywilejów; a jakbyś wyrzuciła z domu swego popiersie, lub portret, znaleziony pośród pamiątek naddziadów twoich, a należący do zupełnie obcej familji, tak też uczyniłem z tymi obłudnikami, mającymi pretensję do wyższych ze mną stosunków, gdy ja wiedziałem, że nie słusznie. Nie chciałem także, aby były kupione na ten sam użytek.

— A czy wiesz Chromacjuszu, że różne i dziwne wieści krążą po okolicy o tem, co się tu u was dzieje!

— Doprawdy, a jakie wieści?

— Oto, że mieścisz tutaj mnóstwo ludzi, których nikt nie zna; że nie widujesz nikogo i nigdzie nie bywasz, i że żyjesz nietylko jak odludek, ale jak więzień; żadnej zabawy, żadnej biesiady — i owszem utrzymują, że prawie umieracie z głodu.

— Lecz spodziewam się, że ci, co się tak nami zajmują, tę nam przynajmniej sprawiedliwość oddają, że płacimy rzetelnie szczupłe wydatki nasze — rzekł Chromacjusz. — Spodziewam się, że nie mówią, iż nie płacimy rachunków piekarza albo korzennego kupca?

— Oh nie! — odrzekła Fabiola, śmiejąc się.

— Jacy łaskawi! mówił dalej wesoły starzec, — jak widzę, wielce się zajmuje nami cała publiczność. Lecz czy nie dziwne, moja droga pani, że póki w tej willi panowały wolne i łatwe zasady, lekkomyślne rozmowy; póki ja i przyjaciele moi nie byliśmy przykładem ani powściągliwości ani skromności, nikt się o nas nie troszczył. Lecz niech tylko kilka osób odosobni się w życiu spokojnem, powściągliwem i pracowitem nie mieszając się do spraw światowych, wnet obudza się natrętna ciekawość, chcą się dowiedzieć co robią ci samotnicy, mieszają się w ich sprawy i rozpuszczają o nich najnieprawdopodobniejsze wieści.

— Prawda, lecz czemuż to przypisujesz?

— Skłonności poziomych umysłów do zazdroszczenia drugim wyższego pomysłu, na jaki się sami zdobyć nie mogą.

— Lecz jaki jest cel twój i sposób twego życia?

— Wstajemy bardzo rano, naprzód poświęcamy chwil kilka religijnym ćwiczeniom, potem zatrudniamy się rozmaicie, jedni czytają, drudzy piszą, inni pracują w ogrodzie. Zgromadzamy się w oznaczonych godzinach i śpiewamy razem śliczne pieśni, poczciwe i czyste, czytamy nauczające książki, słuchamy ustnych nauk bardzo wymownych mistrzów. Stół nasz w istocie bardzo skromny, jadamy tylko owoce i jarzyny; lecz przekonałem się, że wesołość nie ucieka przed soczewicą, że się bez wykwintnej kuchni łatwo obejść można.

— Musi to być bardzo oszczędne życie, rzekła Fabiola z figlarnym uśmiechem.

— O figlarko, odrzekł sędzia, — myślisz więc, że ten sposób życia ma tylko oszczędność na celu?

— Cóż więc? — zapytała młoda pani.

— Posłuchaj, a wtedy powiesz, czyśmy oszczędni. Postanowiliśmy w całej naszej okolicy nie ścierpieć ani jednego ubogiego; chcemy okryć na zimę wszystkich nagich, nakarmić głodnych, pocieszać i leczyć chorych. Wszystkie nasze oszczędzone pieniądze na to pójdą.

— Prawdziwie bardzo piękna, chociaż bardzo nowa myśl w naszych czasach; i nie wątpię, że za całą waszą pracę, będziecie wyśmiani. Gorzej o was mówić będą aniżeli dotąd, lecz gorzej już nie podobna.

— Jakto?

— Nie obrażaj się, jeśli ci to powiem, lecz do tego stopnia doszła obmowa, że nawet utrzymują, że może jesteście chrześcijanami. Wierzaj mi, żem to oszczerstwo przy każdej sposobności z oburzeniem zbijała.

Chromacjusz uśmiechnął się i rzekł: — Dla czego tak przeczysz z oburzeniem kochane dziecko?

— Dlatego, że ciebie i Tyborcjusza Nikostrata i tę kochaną milczącą Zoę zbyt dobrze znam, aby przypuścić na chwilę, żeście przyjęli wyznanie, które jest zbiorem wszelkiego głupstwa i podłości.

— Pozwól mi jedno pytanie. Czyś zadała sobie pracę przeczytać jedno przynajmniej chrześcijańskie pismo, aby wiedzieć, jakie jest prawdziwe wyznanie i jakie są uczynki wzgardzonych chrześcjan?

— Oh nie! zaprawdę, nie chciałabym czasu nad tem trawić; nie miałabym cierpliwości czegokolwiek od nich się uczyć. Zbyt nimi gardzę, jako nieprzyjaciółmi wszelkiego umysłowego postępu, jako podejrzanemi obywatelami i ludźmi łatwowiernymi w najwyższym stopniu, a uświęcającymi najskaradniejsze zbrodnie, — abym się miała starać kiedykolwiek o bliższe poznanie z nimi.

— Droga Fabiola, zupełnie to samo myślałem nie gdyś o chrześcijanach, lecz teraz bardzo się moje zdanie zmieniło.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Legenda o Chrystusie.

Było to podczas świąt w Jerozolimie. Dwoje ubogich ludzi, mężczyzna i kobieta z kilkunastoletnim synem obchodzili dokoło wielką świątynię Syn ich był niezwykle pięknem dzieckiem. Jasne, długie, miękkie jak jedwab włosy spadały mu w puklach na ramiona, oczy zaś Jego jaśniały jak gwiazdy. Matka pokazywała mu cały przepych i wspaniałość świątyni. Były tam długie szeregi kolumn i złocone ołtarze, w pobliżu których siedzieli święci mężowie, otoczeni gronem uczniów, a na wzniesieniu zasiadł arcykapłan w szacie, ozdobionej drogiemi kamieniami. Wisiały tam również wspaniałe zasłony, sprowadzone z Babilonu, a haftowane w prześliczne róże złote, do świątyni zaś wiodły olbrzymie miedziane podwoje, tak ciężkie, że potrzeba było siły aż trzydziestu ludzi, aby je otworzyć. Chłopczyna wszakże niewiele zwracał na to wszystko uwagi. Rzecz dziwna jednak: im obojętniejszym okazywał się chłopiec, tem więcej zadowolenia malowało się na twarzach jego rodziców.

— Bałam się zawsze tej godziny, w której go zaprowadzę po raz pierwszy do świątyni jerozolimskiej — mówiła niewiasta do swego towarzysza — bo sądziłam, że od tej chwili zapragnie on zawsze pozostać w Domu Bożym.

— i ja również obawiałem się tej podróży — odpowiedział zagadnięty — bo cuda i niezwykłe zjawiska przy jego narodzeniu wskazywały, że powinien kiedyś zostać potężnym władcą. Ale cóżby mu dała taka władza? nic oprócz trosk i niebezpieczeństw. Lepiej niech zostanie prostym cieślą w Nazarecie. Jeżeli nie będziemy z nim mówić o niczem nadzwyczajnem, to niebezpieczeństwo przeminie.

Przechodzili właśnie pod starem, wysokiem sklepieniem, gdzie stał oparty o mury olbrzymi róg miedziany. Był on niezwykle długi i ciężki, podobny do słupa, który należałoby przyłożyć do ust, aby weń zatrąbić. Zobaczywszy go, pacholę zatrzymało się zdumione i zapytało:

— Co to takiego?

— To głos książęcia świata — odpowiedziała matka. — Tym rogiem zwoływał Mojżesz synów Izraela na pustyni. Od tego czasu nikt już nie zdołał zeń wydobyć ani jednego dźwięku. Ale ten, który to uczynić może przyjdzie kiedyś i wszystkie ludy zjednoczą się pod jego panowaniem.

Pacholę chętnie zostałoby tu dłużej, aby się przypatrzeć olbrzymiemu rogowi, ale rodzice naglili do pośpiechu i wszyscy troje znaleźli się niebawem na rozległym dziedzińcu świątyni. Tam w skalistym gruncie znajdowała się szeroka i głęboka rozpadlina, pochodząca z pradawnych czasów. Król Salomon nie pozwolił ani jej zasypać, ani zbudować nad nią mostu, ani nawet wznieść poręczy nad strasznym. ziejącym wyziewami otworem tej przepaści. Natomiast kazał przerzucić nad nią miecz na kilka łokci długi z ostrzem zwróconym ku górze. Miecz ten był już prawie zardzewiały zupełnie i niezbyt mocno się trzymał na przeciwległych krawędziach przepaści. Chwiał się też i kołysał, gdy kto szedł ciężkim krokiem przez dziedziniec świątyni. Kiedy matka przeprowadziła pacholę boczną ścieżką nad przepaść, chłopczyna ją zapytał:

— Co to za most matko?

— To most rajski. Jeżelibyś zdołał przejść po chwiejącym się mieczu, któregó ostrze cieńsze

jest od nici pajęczej, to możesz być pewny, że się dostaniesz do raju.

Pacholę zatrzymało się znowu i przypatrywało się długo niezwykłemu mieczowi, zawieszonemu nad przepaścią. Matka znowu go odwołała.

Poszli teraz, nigdzie się już nie zatrzymując, do wspaniałego portyku, stanowiącego boczne wejście do świątyni, a złożonego z pięciu szeregów kolumn. Na końcu wznosiły się dwie kolumny z czarnego marmuru, stojąc na jednym piedestale tak blisko siebie, że zaledwie można było przesunąć pomiędzy niemi cienkie źdźebełko słomy.

— Co to za słupy? — zapytało pacholę.

— To są kolumny, które praojciec nasz Abraham przywiózł niegdyś tutaj z dalekiej Chaldei i nazwał je Bramą Sprawiedliwości. Kto między niemi zdoła się przecisnąć, ten jest sprawiedliwy przed Bogiem i nie popełnił nigdy żadnego grzechu.

Chłopczyna spoglądał na kolumny szeroko otwartemi oczyma, aż wreszcie matka znowu go zawołała.

Przez całą noc jednak pacholę, leżąc w namiocie, nie mogło ani na chwilę zmrużyć oka, wciąż widziało przed sobą Bramę Sprawiedliwości, most rajski i róg władcy świata. Nie mogło poprostu oderwać swych myśli od tych nadzwyczajnych rzeczy. Kiedy zaś rodzice przygotowali wszystko do podróży i pozostało jeszcze trochę czasu przed wyruszeniem w drogę, chłopczyna raz jeszcze poszedł do świątyni, aby przypatrzeć się tym trzem osobliwościom. Gdy najprzód zobaczył kolumny, oczy Jego zabłysły z radości. Usiadł na kamieniu i patrzał na nie wzrokiem pełnym zachwytu.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Rota Katolików.

Nie rzucim, Chryste, świątyń Twych,
Nie damy pogrześć Wiary:
Próżne zakusy duchów złych
I próżne ich zamiary.
Nie damy, by nas święcczył wróg...
Tak nam dopomóż Bóg!

Nie damy bezbożnikom tknąć
Małżeństwa Sakramentu,
Wrogowie w przepaść lud chcą pchnąć
Zniszczeniem fundamentu.
My będziam strzegli Twoich dróg...
Tak nam dopomóż Bóg!

Nie damy wrogom Krzyża kraść
Z szpitali, ochron, szkoły,
Choćbyśmy mieli trupem paść,
Zniszczymy ich mozoły.
Nie wpuścim piekła w państwa próg..
Tak nam dopomóż Bóg!

Z miejskich osiedli, wiejskich pól
Popłynie hymn wspaniały:
Niech żyje Jezus Chrystus — Król

W koronie wiecznej chwały!
Niech żyje Marja! zagrzmi róg...
Tak nam dopomóż Bóg!

Oto ślubujem z ręką wzwyż
Synowie Polski, córy!
Świadkiem nam Zbawca, Jego Krzyż,
Królowa z Jasnej Góry:
Nie spocznlem wpierw, aż nierzchnie wróg..
Tak nam dopomóż Bóg!

Ułożył Ks. A. Chlondowski.

Ku czci Chrystusa Króla.

Od szeregu lat odbywają się Międzynarodow. Kongresy Eucharystyczne. Są one objawami życia religijnego ludów, objawami tak potężnemi, jakich historja Kościoła nigdy przedtem nie znała.

Od czasu Piusa XI, który wprowadził święto Chrystusa-Króla i w ten sposób wszędzie ożywił potężnie ideę Królestwa Chrystusowego, zrodziła się myśl, by urządzać Kongresy Międzynarodowe Chrystusa-Króla, podobne do Kongresów Eucharystycznych. Myśl ta wyszła od poważnych i bardzo wpływowych kół kościelnych. Owe Kongresy Chrystusa-Króla miałyby się odbywać naprzemian z Kongresami Eucharystycznymi co dwa lata. Pierwszy zorganizowany byłby już w 1929, w jednem z miast Europy Środkowej.

Taki wybór miejsca jest tem bardziej godny uznania, że już trzy z kolei Kongresy Eucharystyczne odbyły się, względnie odbędą w innych częściach świata, a mianowicie: w r. 1926 w Ameryce, w 1928 — w Australji, w r. 1930 — w Afryce (Kartagina), a czwarty w r. 1932 ma także odbyć się poza kontynentem europejskim, bo w Irlandji.

Należy oczekiwać, że ta piękna myśl znajdzie gorący oddźwięk wśród katolików wszystkich krajów. Rozumie się samo przez się, że wprowadzenie jej w czyn uzależnione jest od aprobaty najwyższego autorytetu kościelnego. On też zdecyduje o sposobie urzeczywistnienia jej.

W Polsce odbył się już Zjazd katolicki ku czci Chrystusa Króla w r. 1926 w Poznaniu.

Zadaniem Międzynarodowych Kongresów Chrystusa — Króla będzie nietylko manifestowanie idei Królestwa Chrystusowego, ale i realizacja zamierzeń wybitnie praktycznych, jak: nowoczesne apostołowanie, akcja katolicka, apostolstwo osób świeckich, jego zadania, cele, metody, duszpasterstwo na obczyźnie itd.

Odwaga dziecięcia.

Było to w zaraniu mej pierwszej młodości.

Byłem wtedy jeszcze małym chłopakiem, mogącym mieć 7 do 8 lat życia.

Rodzice moi mieszkali na wsi.

Chata nasza stała tuż obok młyna, w którym ojciec mój zajęty był w roli młynarza.

— — — — — — — — — — — —

Była może godzina 11-ta w nocy.

Pogrążony byłem w śnie jeszcze, gdy usłyszałem jakiś łoskot i szum złowrogi, dochodzący ze dworu.

Łoskot z każdą chwilą stawał się donioślejszym. W jednej chwili zerwałem się na równe nogi i naprędce zarzuciłem na siebie odzienie.

Zaglądnąłem przez okno wychodzące w stronę rzeki.

Nieprzenikniona ciemność zawisła nieruchomo nad ziemią w powietrzu, widziałem tylko duże krople deszczu spadającego z łoskotem na ziemię.

Deszcz padał ustawicznie, z odgłosem uderzały krople jego o szyby okien naszego domostwa.

Poziom wody podniósł się coraz wyżej. Niebezpieczeństwo było groźne, zalew wody mógł grozić katastrofą, w którejby szpony również dostała się i nasza chata, tembardziej, na pierwszym planie stojąca, tuż przed jej pierwszym pędem.

Nie było chwili do stracenia.

Postanowiłem obudzić matkę — ojca nie było, gdyż przez noc zajęty był w młynie.

Zbliżyłem się do drugiego łóżka, na którem sypiała matka.

Było ono puste.

Nie namyślałem się prędko: wybiegłem z izby i stanąłem na progu.

Spojrzałem w górę.

Całe niebo jak wzrokiem objąć zasłane było czarnemi chmurami. Deszcz wzmagał się coraz więcej.

Wzrok swój skierowałem na rzekę. Coś niesamowitego działo się na niej.

Fale spiętrzone bałwanami nie mając oparcia, uderzały na siebie z gwałtownością, rozpryskując się na wszystkie strony.

Młyn znajdował się w pobliżu, odległość jego od chaty naszej wynosiła zaledwie kilkadziesiąt kroków; — w przeciągu kilku minut można było przebiec tę przestrzeń szybkim biegiem.

Znajdowałem się pod obuchem niepewności. A nuż mię chwyci zamieć deszczowa — pomyślałem, — wówczas zginąłbym niechybnie.

Błyskawica z chmur ciemnych wystrzeliła, rozdarła powietrze i z głośnym poświstem wiatru zderzyła się z lądem. Równocześnie dał się uczuć odgłos spadającego piorunu...

Wszedłem napowrót do chaty. Burza rozpaczy szalała w mem sercu. Sam jeden pośród pustego domu, zdany na łaskę i niełaskę losu.

Mniej o mnie, ale o rodziców bardziej mi się rozchodziło. Sami jedni znajdowali się w młynie.

Wzrok mój zetknął się z kluczem leżącym na stole. Fala świeżej krwi napłynęła mi do twarzy.

— Boże mój! Boże! — wyjęknąłem z rozpaczą. — Zginą niechybnie, gdy ich nie ocalę.

Klucz przypomniał mi straszną rzeczywistość: wszakże zamknąłem nim wczoraj młyn na zewnątrz. Takie było życzenie ojca. Niebezpieczeństwo było zrozumiałe: o ile ich nie oswobodzę zginą, znajdując swój grób w ruinach młyna. Byłem bliski omdlenia.

Na dworze istne piekło. Burza przemieniła się w żywiołowy huragan, błyskawice co chwila rozświecały ciemności, piorun za piorunem godził w ziemię. Szyby dźwięczały od silnych uderzeń deszczu, wiatr jęczał przeraźliwie, o ścianę domostwa uderzały jakieś ciężary niesione wiatrem i wydawały łoskot do trzęsienia ziemi podobny.

Padłem na kolana przed obrazem ukrzyżowanego Zbawiciela i gorąco począłem się modlić. Usta z niestrudzoną gorliwością szeptały zwroty modlitwy pańskiej. Całem dziecięcem jestestwem mej duszy oddałem się Ojcu Niebieskiemu. Prosiłem Go, by oddalił od nas tę plagę, by mi udzielił moc odwagi na poskromienie grożącego niebezpieczeństwa. Powstałem z klęczek.

Duch ożywczy wstąpił we mnie, napełnił mą duszę zasobem hartu męstwa i odwagi.

Myśl uratowania rodziców nie schodziła mi z głowy. Muszę za wszelką cenę uratować ich od niechybnej śmierci. Czas najwyższy pospieszyć do nich.

Machinalnie pochwyciłem klucz do ręki, wybiegłem z chaty i skierowałem swe kroki w stronę młyna.

Żywioł rozszalał się do granic ostatnich. Drzewa trzeszczały i uginały się pod wpływem wiatru olbrzyma, stan wody podniósł się z przerażającą szybkością.

Uszedłem zaledwie kilkanaście kroków, gdy wiatr silnie zadął, z tyłu uczułem jakieś uderzenie. To odłamek drzewa uderzył mię w plecy.

Uczułem silny ból, zachwiałem się na nogach i runąłem na ziemię.

Przez kilka minut leżałem bez przytomności. Od strony wsi dobiegły jakieś krzyki, z pośród których wyróżniałem wołania o pomoc.

A tam, w oddaleniu o kilkanaście kroków mają czy zbawienie — młyn, a w nim rodzice moi. Jeżeli na czas nie przybędę, zginą niechybnie.

Młyn każdej chwili runąć może pod wpływem strasznego huraganu, wody coraz głębiej podmulały jego spodni fundament.

Wiatr zaskoczywał przeraźliwie.

Zginą, jeżeli ich nie ocalę.

Zerwałem się i pchany nadziemską mocą naprzód, bez czucia na wszystko co mnie otaczało, biegłem z zamkniętemi oczyma, ustami szepcąc zwroty modlitwy pańskiej.

— Ale nas zbaw ode złego . . . — wyszeptałem zbladłemi usty . . . stanąłem.

Znajdowałem się przed drzwiami młyna.

Byłem u celu.

— Amen — wyszeptałem jeszcze raz, przekręciłem klucz mdlejącemi rękoma i z nadludzką siłą pchnąłem drzwi. Rozwarły się one na oścież i razem z tumanem wiatru wpadłem do środka.

Miałem na tyle przytomności, że zamknąłem drzwi za sobą. Z bocznej kantyny ozwały się radosne głosy.

Z piersi mych wydarła się modlitwa dziękczynna.

Uratowałem siebie i rodziców.

Wesołe rzeczy.

Wpływ choroby na kolor oczu.

Amerykański okulista J. Levine, wygłosił w Waszyngtonie referat, w którym dowodzi, że niebieskie oczy świadczą o zdrowiu człowieka, czarne zaś są dowodem zatrucia organizmu. Każdy człowiek, nie wyłączając murzynów, we wczesnem dzieciństwie posiada oczy niebieskie a zmieniają one barwę z czasem wskutek chorób wyniszczających organizm.

Dr. Levine stwierdzi, że 99 proc. ludzi posiadałoby oczy niebieskie, gdyby nie to, że organizm ich zatruty jest toksynami. Specjalna djeta może jakoby przywrócić oczom właściwy kolor. Irlandczycy, którzy żywią się przeważnie mlekiem i kartoflami, cieszą się naogół dobrem zdrowiem, dzięki czemu oczy ich nie zatraciły pięknej błękitnej barwy. Błękitnoocy marynarze, zdaniem owego doktora, również zawdzięczają hygienicznemu trybowi życia kolor swych oczu jasnych, jak toń morza.

Wesoły kącik.

Żebrak: — Łaskawy panie, kilka groszy na wsparcie, mam ślepą żonę..

Przechodzień: — A gdzie jest wasza żona?

Żebrak; — Stoi na rogu i pilnuje, żeby mnie policjant nie złapał.

Drukiem i nakładem drukarni „Dziennika Pomorskiego". w Chojnicach.